

**João
Ubaldo
Ribeiro
LABIRYNT
PAMIĘCI**

Wiwat naród brazylijski!



REBIS

**João
Ubaldo
Ribeiro
LABIRYNT
PAMIĘCI**

Wiwat naród brazylijski!

Przełożył
WOJCIECH CHARCHALIS



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Dla Manoela Ribeira,
z wyrazami podziwu*

Tajemnica Prawdy jest następująca:
nie istnieją fakty, są tylko historie.

1

W zasadzie nigdy definitywnie nie ustalono faktów co do pierwszego wcielenia chorążego José Francisca Brandão Galvão, którego tu, na wietrzynym Przylądku Wielorybim, lada chwila ugodzą w pierś i głowę kamienne i żelazne kule wystrzelone z portugalskich bombardet, mających niebawem nadpłynąć. Umrze w kwiecie młodzieńczego wieku, nawet nie zaznawszy kobiety i nie zdziaławszy nic godnego zapamiętania. Na pewno, niewinny jak tabula rasa, rozkoszuje się ostatnią bryzą, nie przeżył bowiem dość dużo, aby zawładnęła nim wyobraźnia – jak to po dziś dzień zdarza się starcom w jego ojczyźnie, zbyt wiekowym, by mogli jeszcze czegokolwiek doświadczyć, siedzą więc w kucki, pykają z długich fajek mile łechtani fascynacją młodszych i łąją aż miło. A tu, może już za minutę, może i szybciej, na skąpanej w ostrym zimowym słońcu Zatoce Wszystkich Świętych pojawią się Portugalczycy i pluną w niego kamienno-żelaznym gradem, wyłupią oko, roztrzaskają czaszkę, aż skulony otuli się sobą i nie zdąży nawet pomyśleć o zadawanej mu bolesnej śmierci. Na obrazie *Chorąży Brandão Galvão przemawiający do mew* widać wyraźnie, że jest to dzień 10 czerwca 1822 roku; głosi to targana wiatrem karteczka, podtrzymywana z jednej strony dziobkiem przez mewę, z drugiej zaś grotem lancy zdobnej w barwy wolności. Już śmiertelnie ugodzony, prostuje się z jednym okiem spływającym po brodzie i wygłasza perorę do ptaków, które wcześniej, nawet nań nie spojrzawszy, przefruwały nad brygami i łodziami wielorybniczymi portugalskiego kapitana Trzydzieści Diabłów. Rzekł im nie jedno, lecz wiele pamiętnych zdań, głosem drżącym, choć stentorowym, od owego czasu zawsze naśladowanym na szkolnych lekcjach, a jeśli nie tam, to na spotkaniach, na których należy wysłuchiwać mów. Mimo że prócz portugalskich kul były tam wyłącznie morskie ptactwo, ocean i obojętność natury, wypowiedziane wtedy słowa wyryły się na wieki w ludzkich umysłach, choć stąd ich nie słychać, nawet z bliska; nie widać też ruchu warg, w obli-

czu chorążego nie sposób dostrzec niczego ponad bezradność człowieka bezwiednie oddającego ducha. A są to słowa szlachetne, skierowane przeciw tyranii i zniewoleniu, podszeptnięte na ucho przez śmierć i dlatego – najprawdziwsze.

Z rzeczy przeciwstawnych: chwała za życia i pośmiertna sława – tylko ta druga zdaje się prześladować wiecznie wcielającą się duszę chorążego. W przeciwnym razie bowiem nie byłoby go tam owego dnia, skoro mógłby udać się do jakiegokolwiek innego miejsca Recôncavo, gdzie zbierał się lud, aby pić i wivatować na cześć Regenta i Nieśmiertelnego Księcia Dão Pedra, Nieustającego Obrońcy Półkuli Południowej. Już nieboszczyk i bohater, którego słowa skierowane do mew krążyły z ust do ust coraz bardziej rozwlekane, chorąży zapewne nie usłyszał głośniejszej proklamacji wygłoszanej na licznych imprezach w mieście Catu. Nie zobaczył też wielu innych, a nastąpiły one po złowróżbnym dniu, w którym Senat Urzędu Miasta Bahia – kipiąc z wściekłości i nienawiści, gdyż Dwór wsiadł na okręty i pożegłował do Portugalii tak samo obojętnie, jak przypłynął – odrzucił przyjęcie Listu Królewskiego informującego o awansowaniu pułkownika Inacia Madeiry de Melo do stopnia generała. Naród brazylijski burzył się przeciw Portugalczykom; wartkie przemowy dudniły echem odbijanym od ścian kościołów, aptek i salonów, gdzie konspiratorzy wieszczili chwałę Ameryki Południowej, przynoszącej splendor, fortunę i obfitość. Wszędzie fetowano nowych bohaterów, jednego dziennie w każdej miejscowości, czasem dwóch lub trzech, wręcz tuziny, a wiadomości o ich odwadze mknęły żywo jak jaskółki spędzające lato na wyspie. Tak było wcześniej, gdy do portu w Bahii zawinęła słynna korweta *Regeneração*, przywożąc do domu uwolnionych na mocy amnestii ważnych bohaterów, uwięzionych w wyniku buntu w zamku Świętego Jerzego w stolicy okupanta. Zaraz po tych ziemiach rozniosła się sława owych spowitych aurą legendy ludzi Przeznaczenia, ich niezrównanej odwagi, piękna każdego gestu, celnej mocy każdego słowa, charakteru nigdy niezłamanego ludzką słabością. I nie mogło serce José Francisca nie zabić szybciej, a podbródek nie zadrzeć, kiedy o zachodzie słońca – jakby bębny grzmiały – wielki wojownik, w pelerynie o szkarłatnych wyłogach, porucznik João das Botas, pasażer *Regeneração*, zszedł na ląd, aby odwiedzić wyspę w tajemnicy i porozmawiać z kilkoma ludźmi zebranych przez aptekarza na Przylądku Wielorybim. Z jego ust padło zdecydowane oskarżenie brazylijskich deputowa-

nych, którzy w Lizbonie przeciwstawili się amnestii. Ledwie łapiąc oddech, chorąży usłyszał, że Brazylia ucieleśnia wolność, dostatek, sprawiedliwość i piękno, niedostępne dotychczas z powodu niegodziwości Portugalczyków, którzy żądają od nas wszystkiego, w zamian nie dając nic. Nauczył się wypowiadać z pogardą imię jednego z deputowanych; później, gdy już nosił zielony kaftan z dystynkcjami, który dała mu wdowa po kapralu (jego matka chrzestna, ślepa i stara), przyzwyczajony do odczuwania skurczu w piersi na widok bojowników zbierających się w grupki to tu, to tam, jedynie imię tego deputowanego potrafił wykrztusić na zebraniach w aptece. Niemal zawsze przemawiał aptekarz i jego częsty gość, wielki i natchniony mówca Sousa Lima, ale pozostali też mogli próbować zabrać głos, kiedy wielkim rewolucjonistom brakło tchu, tak więc gładząc mankiety kaftana i parując z rzadkim zarostem siedemnastolatka, chorąży Brandão Galvão szorstko cedził przez zęby: Gonçalves Ledo, zdrajca tchórz! I przebiegając pomieszczenie nieposkromionym spojrzeniem, jakby chciał nadążyć wzrokiem za latającą szaleńczo muchą, uderzał się w kolano, wychrząkiwał jakieś niezrozumiałe przekleństwo i ponownie zapadał w kamienne milczenie. Podobało mu się, że choć powtarza te słowa i miny niemal co noc, bo trudno mu było się nauczyć czegoś nowego, z liter zaś znał tylko inicjały swojego nazwiska, pozostali konspiratorzy słuchają go zawsze, jakby mówił coś niebywale istotnego i nigdy wcześniej nieusłyszanego, a niektórzy wtórują mu burczeniem, niemal uroczyście kiwając głowami.

Zanim śmierć przyniosła mu chwałę i udzieliła daru pięknych słów, być może nawet czasem myślał, że gdyby nie ubranie z galonami i niepewne, choć przyjemne dreszcze, o które przyprawiało go napomykanie o wojnie, wcześniejsze życie pomocnika rybaka – był przecież bękartem i nędzarzem – mimo wszystko lepiej by mu służyło. Rybaczenie, z natury niepewne, toczyło się jak dzień i noc – owszem, wymagało uwagi i dyscypliny, budziło też jednak zachwycające poczucie wolności, którego chorąży za dobrze nie rozumiał, ale odczuwał je, przede wszystkim gdy ryby w srebrnej połyskującej masie miały się w sieciach i łodziach, a ludzie po zakończeniu połowu wzdychali głęboko i zaśmiewali się bez powodu. Nie miał pojęcia, co się wydarzy, wstydził się tego i zawsze, kiedy zebrał się na odwagę, żeby zapytać, w ostatniej chwili nieodmiennie ją tracił i znowu coś burczał pod nosem. Nie miał pojęcia, gdzie jest Portugalia, wiedział jedynie, że jego ojciec tam właśnie powrócił, gdy tylko on się urodził. Czasem

wykradał się nocą, aby popatrzeć z daleka na portugalski okręt wojenny *Dona Maria da Glória*, stojący na kotwicy tak samo jak zaklęty okręt w porcie Ponta da Cruz. Ponieważ nie nosił broni strzeleckiej, z wojskowego oporządzenia bowiem miał jedynie kaftan, ściskał w rękach procę i klęcząc w mroku, przyglądał się okrętowi; oddychał coraz szybciej i z zamkniętymi oczami myślał o tym, żeby wdrzeć się na pokład i hakiem rybackim pozabijać Portugalczyków. Miał nadzieję zobaczyć popłoch na twarzy kapitana Manoela Pereiry da Silva, o którym mawiano, że jest najokrutniejszy spośród wszystkich królewskich przysłanych tutaj przez tyrański Dwór, lecz nigdy nie wypatrył niczego prócz cienia wychudzonego psa snującego się po nabrzeżu; słyszał wyłącznie plusk wody uderzającej o burty, szepty wzmacniane przez noc, rozbrzmiewające niczym zgraja plotkarzy w rytm kroków krabików wychodzących z ukrycia w ciemnościach. O obowiązkach chorążego nie miał zielonego pojęcia, nie wiedział nawet, co oznacza ta ranga, ani nawet że jest chorążym. Domniemywał zresztą, że aby nim zostać, trzeba czegoś więcej niż to, że tak na niego wołano, co po raz pierwszy zdarzyło się w aptece i tak już na Przylądku Wielorybim zostało.

Być może gdyby nie drżał przed tym, że zostanie sam z innymi chorążymi albo komandorami bądź sternikami lub kapitanami czy tyłoma innymi postaciami o surowych minach, wyrzeźbionej sylwetce i w mundurach z odznaczeniami, gdyby zdołał pojąć pewne słowa, których brzmienie, gdy samotnie cierpiał, przypominało mu zaledwie głupie wyobrażone przedmioty, gdyby choć trochę orientował się w czymś, co mu ciążyło jak ołowiany szyszak na głowie, udałby się do Cachoeiry, gdzie spiskowcy tak się roznamiętniali, że szybowali pośród chmur i czuli, jak krew im się burzy w ciele, gotowa zalać morza i stworzyć więcej piany i więcej bohaterów, coraz więcej bogów i bogiń Wolności, jakich widać na grafikach i odmalowują je w myślach słowa oratorów. Wystarczył jeden rzut oka w stronę zakola, gdzie Paraguaçu – intensywnie brunatna i spokojnie zdradliwa, niemal letargicznie płynąca dnem doliny – znikła, żeby się zorientować, że wielu żyjących na jej brzegach szykuje się do uderzenia, i zawsze, o dowolnej porze, ktoś stoi nad jej brzegiem ze wzrokiem utkwionym w horyzont i wizjami bitew w myślach. Chorąży jednak interesował się tymi i innymi dziwami wyłącznie ze słyszenia, obawiał się bowiem spotkania z innym żołnierzem, który mógłby mu zadawać trudne pytania. Co takiego wie

o broni i strategii wojennej? W ilu bitwach wziął udział i jakie wspomnienia przekaze towarzyszom i rodzinie? Co sądzi o wszystkich bitwach Brazylii, jaka jest jego opinia o naszej Niepodległości, którzy wielcy dowódcy po stoczonych potyczce odezwali się do niego mniej więcej w te słowa: „Dajcie mi dziesięciu takich jak wy, dzielny żołnierzu, a cały glob będzie nasz”? Gdzie konkretnie jest Brazylia, jeśli wiemy, że to, co mamy tutaj, na pewno jest Brazylią, ale nie całą Brazylią; czy dobry żołnierz może nie wiedzieć, gdzie znajduje się Brazylia? Nie, José Francisco nie odejdzie z Przylądka Wielorybiego, nie tylko dlatego, że tego nie pragnął, ale ponieważ przeznaczenie już wiło mu nad głową koronę z laurów i cierni, znaczącą jego kondycję bohatera. Tam, na Przylądku Wielorybim, w dniu zapisanym na skrzydlatej karteczce z obrazu, gniewnie, z furią wręcz Portugalczycy przypuścili pierwszy atak na rewolucjonistów z wyspy Itaparica. O spisku doniósł im Portugalczyk João de Campos, któremu będą złorzeczyć i przeklinać go po kres Wieczności, za każdym razem, kiedy przyjdzie wygłosić przemówienie na cześć chorążego Brandão Galvão i jego mewiej publiczności; ochotnik generała Madeiry, mającego okiełznać – bez świadków czy wsparcia – Półkulę Południową, tym samym sprowadził do miejscowości Przylądek Wielorybi komandora Trzydzieści Diabłów i jego flotę. Bardzo długo po tym ataku, nawet po wiekach ludzie wciąż żegnają się na wspomnienie okrętu *Dona Maria da Glória* przemienionego w morskiego potwora z ognia i dymu, gdy szalupy spuszczone na wodę zmierzały ku plaży, ich wiosła przypominały zabójcze jeże, groty lanc i halabard zaś skrzyły się coraz bliżej. Padł jedynie, jak zapisano, chorąży Brandão Galvão, nim jeszcze Portugalczycy wyskoczyli na ląd, był bowiem nader widoczny – mankiety jego kaftana lśniły i wychudzona sylwetka odcinała się na spłowiłych deskach przystani – jeden z tych kształtów, które człowiek ściskający dziewczą broń nieodparcie pragnie ustrzelić. Raniony, gdy tylko pierwsza szalupa jęła pluć ogniem, mógł jedynie skonstatować, że te kąśnięcia powietrza, nagle ożywionego i świszczącego, zabijają go, kiedy peroruje do mew. Nie widział już nawet Portugalczyka João de Campos wyskakującego z łodzi na czele pierwszej grupy, żeby palcem grubym i tłustym (słonina trzęsa mu się w obwisłych bryczesach) wskazać domy konspiratorów. Całe szczęście, że kiedy zawitały brygi opływające zatoczkę, jedynie chorąży pozostał na stanowisku, które sam sobie wyznaczył, pozostali bowiem, od aptekarza po mówców, od marynarzy do poławiaczy owo-

ców morza, rzucili się do ucieczki przez zarośla od strony Amoreiras, nie dopuszczając tym przebiegłym manewrem, by kadra Rewolucji doznała strat o konsekwencjach nie do oszacowania. Oszalali i gnający po ogromnej łąsie twardego piasku jak armia diabłów Portugalczycy dopuścili się straszliwych okrucieństw, opiewanych później w całych tomach poematów, nieważnie wielu poszkodowanych zaś jeszcze dziś płonie w sercach ich potomków. Pozostała na plaży i w forcie artyleria została osłabiona, proch polany wodą, kule armatnie przebite i porzucone w trawiastym błocie. Napadnięto na kościół Świętego Wawrzyńca, zerwano pelerynę Panu Naszemu od Męczenników, zniszczono oratorium Prawdziwego Krzyża. I tyle świętokradztw popełniono, że gdyby nie to, iż Bóg stał już po stronie brazylijskiej, przez sprawiedliwość i powołanie, teraz, w obliczu wrogiej krwawej łaźni, zmieniłby stronę. Aptekę niemal zburzono, poniosła wielkie straty, lecz José Francisco, ponieważ miał na świecie tylko jedną sparaliżowaną matkę, jedną dorosłą siostrę, dwie kury, procę i kaftan z galonami, nie doznał ani nie przedstawił strat. Przeciwnie, zostawił w spadku narodowi swoje słowa kierowane do mew w dniu, kiedy stojąc na warcie na Przyładku Wielorybim, najbardziej brazylijskiej z brazylijskich ziem, został przebity okrutnym i bezlitosnym szponem Portugalii.

Zachowanie dusz nagle pozbawionych ciał, zwłaszcza gdy są bardzo młode, zawsze było przedmiotem wielu kontrowersji i nawet teorii diametralnie od siebie różnych, dlatego w całej tej kwestii nie ma nawet jednego pewnego elementu. Twierdzi się na przykład, że w Amoreiras szczególna zbieżność punktów kardynalnych, ekwinokcji, linii magnetycznych, biegunów ezoterycznych, prądów alchemiczno-filozoficznych, przyciągania Księżyca i ciał niebieskich stałych i wędrownych oraz innych sił tajemnych – sprawia, iż w tamtym rejonie dusze zmarłych odmawiają odejścia i permanentnie migrują luźno pośród żywych, mieszając się w codzienne życie i stawiając czasem niekończące się wymagania. Mówi się, że to przez Tupinambowie – niegdyś tam żyli i na tysiąc sposobów oraz sztuk indiańskich niewolili dusze zmarłych, dopóki nie zapłaciły za przysługi, które były dłużne w chwili śmierci, albo nie dokończyły jakichś niezłaławionych spraw. Po Tupinambach jednak przyplęnęli Portugalczycy, Hiszpanie, Holendrzy, nawet Francuzi, a nieboszczycy, mimo że nie było już Indian, którzy by ich uwiązali, ciągle tam siedzieli, rzucając wyzwanie nakazom księży i najbar-

dziej poważanych szamanów, skłaniających ich do odejścia. Zaraz potem przybyli czarni z różnych ludów Afryki i bez względu na to, skąd przyjechali i jakich bogów ze sobą przywieźli, żaden z nich nie był w stanie uwolnić się od swoich zmarłych, tym bardziej że to oni nauczyli się najlepiej adaptować do tych okoliczności, nie mając pośród siebie, na przykład, sierot i wdów. Wielu z tych, którzy nie zdołali znieść życia w towarzystwie nieskończonej pamięci i w obecności wszystkiego, co już wcześniej istniało, przeniosło się bardzo daleko od Amoreiras i nigdy nie zjedzą nic, co stamtąd pochodzi.

Są miejsca w Recôncavo, w których dusze młodych pozbawionych ciała zaskoczone ulegają pierwszemu impulsowi i przez pomyłkę wchodzą do brzucha kozy, oślicy czy w kurze jajko. Gdy tak się stanie, uwięzione nie mogą wyjść, zanim się urodzi, odchowa i umrze albo zostanie zabite zwierzę, w które się wcieliły, zdarza się więc, że niektóre od urodzenia wolą znosić głód, niż jeść mięso pewnych zwierząt, a to dlatego, że już się w nie wcieliły, raz albo nawet kilka razy, i znają je od środka, na zawsze są już więc spokrewnione. Istnieje możliwość wyciągnięcia duszy, która z braku doświadczenia popadła w takie tarapaty, to jednak wymaga ponadludzkiej siły i bardziej niż delikatnej koniunktacji różnych czynników, dlatego większość rodzin dręczonych obecnością duszy wcielonej w jedno ze swoich zwierząt woli działać z rezygnacją i miłosierdziem. W innych miejscach dusze nie biorą w posiadanie zwierząt, lecz drzewa; nie wiadomo, czy robią to celowo, niektórzy jednak utrzymują, że dusza, przestraszona tym, co się wydarzyło w inkarnacji, z której wyszła, i bardzo zaniepokojona swoją nieśmiertelnością, uważa kondycję roślinną za lepszą niż ludzka czy bydłęca. Niczego się nie uczy jako dusza; potrzebuje inkarnacji, żeby się nauczyć, i ma aż nadto powodów, by liczyć się z opinią, według której jako roślina uczy się lepiej, niż będąc człowiekiem, zwłaszcza zaś jako drzewa dające owoce.

Nie sposób też zanegować, że w całym Recôncavo można napotkać dusze pokutujące, i nie ma powodu wątpić w zeznania tak wielu ludzi, którzy się z nimi zetknęli i pomagają im, zapalając świeczki, odprawiając nowenny, zanosząc modlitwy i składając ofiary. Niezliczone dusze cierpiące utrzymują się w tej przejściowej sytuacji i tak naprawdę nie pokutują, ale odpoczywają przed wejściem na Grzędę Dusz, gdzie wcześniej czy później będą musiały pokonać strach i ponownie się wcielić. Nie ma potrzeby zmu-

sząć ich do robienia tego, bo nie do zniesienia jest nie móc się absolutnie niczego nauczyć. W każdej chwili więc całe ich tłumy, nie mogąc dłużej się pohamować, rzucają się w dół z Grzędy Dusz lotem strzały i mkną, żeby się wcielić. Są to zdarzenia bardzo skomplikowane, których całkowite zrozumienie wymyka się doświadczeniu najmędrszych z ludzi i bractw; z pewnością dlatego właśnie tak silny jest nurt twierdzący, że chorąży Brandão Galvão był pierwszym wcieleniem duszyczki tak skołowanej i wystraszonej tym, że opuściła uświęcone ciało bohatera, a ponieważ dusze są lżejsze od powietrza i wiele z nich nie potrafi dobrze latać, oddała się trochę wiatrowi popychającemu portugalską flotę i kołysana bryzą pomiędzy fortem i Wyspą Strachu, spoglądała z wielką miłością, rozczarowaniem i żalem na ciało w dole, na którego żołnierskich nadgarstkach odbijało się światło słoneczne. Lecz sądzić, że chorąży był pierwszym wcieleniem tej uwolnionej duszyczki człowieka zmierzającego z północnego wschodu na południe, jest bardziej sprawą ludzkiej próżności, dążącej do zmieniania świata wedle własnych potrzeb. Tak, jakąż większą chwałę mógłby zyskać lud, niż mieć tego inspirującego i elokwentnego bohatera za pierwsze wcielenie nowej duszyczki, duszy specjalnie spłodzonej, aby scementować dumę wszystkich i wyrazić nieugiętą wolę narodu?

Tak się jednak nie wydarzyło. Niewiele jest nowych dusz, choć w wielkiej kosmicznej zupie otaczającej planety i konstelacje codziennie kilka się tworzy. Wie supernowoczesna biologia, że wiele, wiele milionów lat temu nie było istot żywych, lecz tworzące je dziś substancje unosiły się swobodnie w prymarnej zupie mórz i wtedy, pewnego pięknego dnia, słońce oświetliło kilka z tych substancji w chwili, kiedy falowanie je do siebie zbliżyło, i w konsekwencji po raz pierwszy pojawiło się coś żywego. Ten sam proces, który uczeni przedstawiają jako tak prosty, zachodzi w wypadku nowych duszyczek, kiedy tworzą się w wielkiej kosmicznej zupie. Duszyczki są jak pewne cząsteczki materii, także opisane przez supernowoczesną naukę, mające kolor i smak, i preferencje, ale pozbawione ciała i ładunku. Tak duszyczki, jak i cząsteczki jednak istnieją, wszystko zależnie od nieilości nicości, która nie wchodzi z nimi w niebudowę, i, niemal z całkowitą pewnością, innych uwarunkowań naukowych, takich jak ciśnienie, temperatura i obecność dobrych katalizatorów reakcji niczego z niczym. A zatem w gwiazdnych bezmiarach bezkresne i obfite niemasy niczego spływają, rzecz jasna bez żadnej prędkości, która jest im przyrodzona, żeby

zgromadzić się w pobliżu jakiejś grzędy dusz. Czy to nicość poszukuje grzędy dusz, czy też jest odwrotnie, nie sposób dociec. Fakt jest taki, że w pobliżu grzędy dusz nie dzieje się nic, nic po żadnej ze stron, nieskończoność nicości niewyobrażalna w całej swojej nierozciągłości. Nicość i dalej nicość, i jeszcze większa nicość gromadzi się tam do chwili, gdy zbierze się tyle nicości, że zachodzi nicość krytyczna i w ten oto sposób powstaje z niej coś. Jest już, ta nagle powstała forma nicości, nową duszyczką, nie-doświadczoną i niewinną, jak wszystkie bardzo młode stworzenia, z tego też powodu poddaną wielkiej liczbie przykrych wypadków, wie tylko tyle bowiem, że musi się udać do Grzędy Dusz, przysiąc na grzędzie wraz z innymi i czekać na chwilę, w której będzie musiała się inkarnować, żeby się uczyć.

Prawdę mówiąc, dusza, która przez tyle czasu była niepokieszona i błędna, a do tego tak zielona i bezbronna, została zmuszona do opuszczenia ciała chorążego Brandão Galvão; nie była pierwotnie duszą brazylijską, bardzo trudno bowiem o to, by duszom przeznaczone były inkarnacje tylko w łonie jednego narodu albo by przyłgnęły do któregoś z nich. W wypadku tej duszy wszystko zaczęło się, jak wiele ważnych wydarzeń, zrzędzeniem losu. Kiedy szczęśliwie Grzęda Dusz jest wypełniona świeżo narodzonymi duszami, gorączkowe pobudzenie tylu młodych niemogących się doczekać nauki i wypełnienia swojego przeznaczenia może spowodować nawet migotanie kosmosu i nieco zakłócić doskonale działanie zegarów gwiazdnych oraz pozostałych niebieskich mechanizmów. W tym chaosie jest powszechne, że nowe dusze spadają jak strzały – w nerwowym i spazmatycznym locie przypominającym lot wodopławików zbierających owoce morza i spłoszonych kamieniem – w kierunku planety, sypiąc skry z prędkością błyskawicy, aż znajdą jajo, macicę, nasienie, coś żywego, aby się wcielić. I naturalnie nie spadają tak jak ciała, może nawet właściwie nie spadają, ponieważ ich trajektorie są zarazem prostopadłe do planów wszystkich trzech wymiarów, a jeśli nie sposób tego zrozumieć, to dlatego, że niewiele się rozumie z czwartego, piątego czy szóstego wymiaru; nawet duszyczki, zanim tu dotrą, nigdy nie wiedzą, gdzie się znajdują. I bardzo często się zdarza, że pierwsza inkarnacja duszyczki nie następuje w człowieka, lecz w zwierzę lub roślinę, można zatem domniemywać, że ta właśnie duszyczka, nim weszła w brzuch rozczarowanej matki chorążego, była małpą lub papugą gdzieś w głębi dżungli Recôncavo. Ponieważ w tamtych

czasach znakomita większość małp i papug nie miała tylu poważnych problemów co obecnie, należy przypuszczać, że duszyczka starała się wrócić do tego samego gatunku, lecz nie zdołała się oprzeć wejściu w człowieka – mimo dojmującego strachu, zawsze wzbudzanego u dusz w obliczu takiej możliwości. Zdarzyło się tak, że duszyczkę, porzuconą pośród lasów i bydląt, silne przyciąganie dosłownie wessało do brzucha kobiety Tupinamba, w której wnętrzu za kilka godzin miało dojść do zapłodnienia.

Może doszło tam do współdziałania osobliwych okoliczności, które ostatecznie uczyniły z duszy chorążego duszę brazylijską. Indianka urodzona gdzieś w okresie, gdy przybywali pierwsi biali, przed ukończeniem dwunastu lat została zgwałcona i zabita przez ośmiu z nich. Nic nie rozumiejąc, ledwie dusza wyszła z ciała dziewczyny i zaczęła znów wzlatywać ku Grzędzie Dusz, jakiś inny ludzki brzuch ją wessał niczym wir i oto ponownie rodzi się Indianinem, i jeszcze raz, i jeszcze, nie sposób stwierdzić dokładnie ile razy, aż w końcu (po przeżyciu w czasach holenderskich jako *caboclo*, kryjąc się w leśnych ostępach i na nadmorskich piaskach z trzema czy czterema kobietami i wieloma córkami i co rusz zajadając mięso okolicznych ludzi) spędziła pewien czas na Grzędzie Dusz, bojąc się, że znowu wcieli się w mężczyznę lub kobietę. I na pewno coś musiało zostać zapisane, ta dusza bowiem, szcękając zębami ze strachu w mrocznej otchłani pomiędzy światami, z wielką siłą starała się uniknąć Półkuli Południowej przy następnym zstąpieniu, ponieważ jednak tak naprawdę niczego się nie nauczyła, lepiej jej wychodziło bycie papugą niż człowiekiem, skończyła, lecąc na chybił trafił, tak więc osiemnaście lat, dwa miesiące i dwadzieścia dni przed 10 czerwca 1822 roku znalazła się pośród trzewi wątłej kobietki, która zaraz miała rodzić, w ciele przyszłego chorążego Brandão Galvão, bohatera Niepodległości.

Ów chorąży, którego duszyczka ledwie przyjrzała się z oddali jego prostemu pogrzebowi, już miał imię wywyższone, gdziekolwiek się zebrali patriotyczni rewolucjoniści, już było przywoływane jako przykład odwagi i elokwencji, już stawało się przedmiotem porywających i ostrych rozpraw. Być może też duszyczka spędziła zbyt wiele czasu w Amoreiras, bezcieleśnie wałęsając się po wyspie, dusze bowiem nie mają za bardzo poczucia czasu. Może też jednak nie być prawdą, że została zaczarowana za sprawą wabika, pułapki i nekromancji, które zaplatają się w powietrzu Amoreiras, gdyż z coraz większą pieczołowitością i zainteresowaniem ją odwiedzać

miejsca, gdzie chorąży odbierał hołdy, jęła drzeć z zadowolenia, ze szczęścia, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła, kiedy passusy jej przemowy do mew deklamatorzy przytaczali narodowi w symfonicznych aleksandrynach, zachwycających szykach przestawnych, wykrzyknikach grzmiących jak młoty zbijające wielkie beczki, metaforach, których granice przenigdy się nie rozpuszczały, zdobiąc powietrze galaretowatymi, roztrzęzionymi rzeźbami. Coraz bardziej i bardziej zdumiewała się sobą; usłyszała tyle opowieści o czynach dokonanych przez ludzi, w których się wcielała, że o niczym innym nie myślała. I tak, jaskrawobłękitna niewidzialna kula zawieszona przez wiele wiatrów zamieszkujących firmament, duszyczka odwlekała tę chwilę i zarazem pragnęła jej, chwili, kiedy znajdzie utraconą miłość i stanie się duszą brazylijską na zawsze, przyczyniając się do zrozumienia fenomenu przypominającego, że dusze niczego się nie uczą, lecz śnią aż do obłąkania.

Pirajá, 8 listopada 1822

Perilo Ambrósio Góes Farinha siedział pod chlebowcem z rozłożonymi nogami, zajadając podeschnięty chleb kukurydziany i wielkimi kęsami pochłaniając kawał pieczonej kiełbasy. Postanowił zbesztać dwóch towarzyszących mu niewolników, chociaż nie zrobili nic złego i tylko przyglądali mu się wygłodniałymi oczami. Zezłościł się z powodu jedzenia. Zawsze tak miał, od małego, był bardzo wrażliwy na rozczarowania z tym związane. Mogło to być zaledwie zawiedzione oczekiwanie, mogło być cokolwiek, nawet to, że ktoś przed nim sięgnął po upatrzony przezeń kawałek, mimo że miał pełne usta i bardzo czujnie obserwował wszystkie potrawy na stole, hałaśliwie przy tym pożerając wszystko, co zgromadził w kilku porcelanowych misach służących mu za talerze. Wspomnił – jak zwykle czując wzburzenie w piersi i dojmującą samotność – ciężką niesprawiedliwość, kiedy ojciec po raz dwudziesty, a może trzydziesty groził wyrzuceniem go z wioski i majątku, gdy zobaczył, jak Perilo zaatakował jedną z sióstr różnem, gdyż pierwsza weszła w posiadanie kawałka mięsa oddalonego odeń, lecz pożądanego. Nie miał jak dosięgnąć tej szarpanej wołowiny, jaśniejącej pośród ogórków i bakłażanów na drugim końcu stołu, nie mógł jej nawet zarezerwować dla siebie krzykami i groźbami, bo usta miał zapchane racjami boczku z mąką rosnącą lepko w buzi, i jednocześnie nie mógł nie popaść w przygnębienie z obawy, że mu podkradną z jego obfitych stosów kawałki już upatrzone – za sprawą wążania i westchnień – jeśli tylko choć na chwilę spuści je z oka. W takiej sytuacji nie mógł nic zrobić, chyba że ze spojrzeniem zranionego wieloryba przelecieć nad nieznośną otchłanią dzielącą jego i ten kawałek mięsa i zanim siostra ugryzie to, co należało do niego, przesyć jej rękę czarnym i tłustym oszczepem. Dlaczego mnie dręczycie? – pomyślał, krzycząc jeszcze, wzburzony, ale kiedy siostrę z dłonią przebitą różnem wnosili do środka, czarne wrzeszczały wniebogłosy, pośród gradu wymierzanych policzków, ojciec wyrwał mu kęs mięsa spomiędzy zębów, zmusił go do odejścia od stołu i zabronił jeść cokolwiek tego dnia. W pokoju, w którym go zamknął, Perilo płonął z nienawiści i żalu i niemal cały czas zalewał się łzami, zanosząc się szlochem tak spazmatycznym, że wydawało mu się, iż nie ma końca. Pośród

innych zemst, o których śnił od czasu do czasu i wspominał je, ociekając potem, poprzysiągł głośno, że kiedyś jeszcze zmusi siostrę do tego, by cierpiała głód, podczas gdy on będzie się objadał na jej oczach, przenigdy bowiem – teraz, gdy został tak niewdzięcznie zraniony – nie będzie na całym świecie dość mięsa, żeby zabić łaknienie tamtego kawałka, przywłaszczonego i wyrwanego mu siłą spomiędzy desperacko miażdżących pokarm zębów. Wygnany z domu został jednak znacznie później. To wszak nie miało teraz żadnego znaczenia, pojawiło się, kiedy wszystkie inne żale już zatruły mu cały dzień.

– Dajcie mi wody do popicia! – warknął głosem skrzekliwym, głośniejszym niż normalnie, jak zwykle, kiedy zwracał się do czarnych. – Wody! Nie dość, że muszę jeść to śmierdzące paskudztwo, to jeszcze popijać wodą! Dawaj ten bukłak!

Feliciano, młodszy z czarnych, zszedł ze słońca, gdzie musiał siedzieć na rozkaz swojego pana razem z towarzyszem, powoli sięgnął po bukłak i podał mu.

– Ruszaj się, durniu! – wrzasnął Perilo Ambrósio.

Wyrwał korek, szarpiąc za sznureczek przechodzący przez grubszą część, pociągnął głośno kilka łyków i opuściwszy bukłak, kopnął Feliciano tak mocno, jak tylko pozwalała mu na to jego pozycja.

– Pewnie masz tę gównianą minę dlatego, że kazałem wam siedzieć w słońcu... i tam was zostawię na całą wieczność, jeśli tak mi się będzie chciało! – perorował. – I dlatego, że chcecie waszymi zasranymi gębami dorwać się do bukłaka z tą paskudną wodą! Dlaczego wlaście tu te pomyje? Odpowiadaj, ośle, czarci pomiole! I powinienesz być mi wdzięczny, że cię wystawiam na słońce, bo to wielka przysługa, przecież twój mózg musi być przyzwyczajony do gotowania się w słońcu Afryki, więc zaznajesz nieco przyjemności. I nie rób mi tu tej gęby mnicha, co złożył śluby milczenia, brudna małpo, w ogóle nie rób żadnej gęby, czarni nie mają duszy i tyle mają prawa głosu, co świni i kury! Powiesz tylko to, co zechcę, tak jak macie obaj opowiadać o mojej odwadze i niesamowitych czynach w wojnie z wojskami Madeiry, o moich straszliwych cierpieniach, jedzeniu tych zabójczych pomyj, picciu morowej wody w towarzystwie dwóch brudnych i śmierdzących czarnuchów, pierdzących jak zachlane dziukusy i studzących mi tutaj mój żar bitewny, oto, co masz mówić, i jeszcze to, co ci rozkażę!

Na gliniastym gościńcu biegnącym skrajem lasu wykwitła grupa jeźdźców, wzbijając sporą kurzawę. Perilo Ambrósio popadł w nerwowość.

– Pomóż no mi! – rzucił do niewolnika, który wyciągnął doń rękę, żeby go podnieść, co nastąpiło z wielkim mozołem, brzuch postanowił bowiem zostać na ziemi, podczas gdy Perilo dyszał z podkurczonymi nogami w wielkim wysiłku. – Co jest? Nie dajesz rady takiemu ciężarowi? No to nie jesteś dzieckiem swojej starej, bo po wielekroć ją rznąłem, zwalając na nią te wszystkie cetnary, a nie przypominam sobie, żeby kiedyś została zmiażdżona. I gdyby nie stała się kudłatą oślicą i w dodatku nie podłapała od jakiegoś kundla świerzbu i syfa, to jeszcze nieraz bym puknął tę czarną dupę. Ale nic z tego – dodał z obscenicznym śmiechem, przesuwając grubą, włochatą łapą po tyłku Feliciana – bo tych dupek z waszej rodziny jeszcze nie mam dosyć i nadejdzie dzień, w którym wezwę cię do swojego pokoju, żebyś stanął na czterech, a ja ci wetknę tę łagę w jelito od tyłca aż do końca, bo w te klocki to musisz być niezły. No, ale czy to bojownicy tam jadą? Czy to zmykają ludzie Madeiry? Ciągną jakieś działo, dlatego jadą wolno i jeszcze im zejdzie, no i dobrze. Uważasz, że to na pewno nasi? Masz lepsze oczy niż ja, dobrze się przypatrz. Jeśli mnie okłamiesz, jeśli mi powiesz, że to nasi, a okaże się, że nie, to będzie twoje ostatnie łotrostwo, bo cię wypatroszę, zanim oni tu podjadą. Słuchaj no, czy to na pewno nasi? Co tam z bitwą, nie mogę ryzykować, co tam z bitwą?

Nie docierały do nich już nawet odgłosy walki, choć i wcześniej nie było dudnienia, jakiego się spodziewali. Perilo Ambrósio wybrał to miejsce, bardzo daleko od pola bitwy, żeby przeczekać potyczkę, bo czekał tylko na to, że wygrają Brazylijczycy, aby natychmiast się do nich przyłączyć. Obawiał się teraz, że bitwa jeszcze nie dobiegła końca i pechowym zrządzeniem losu zostanie zmuszony do wzięcia w niej udziału. Jeśli chciał, żeby Brazylijczycy zwyciężyli, to nie dlatego, że był Brazylijczykiem – prawdę mówiąc, uważał się za Portugalczyka – ale dlatego, że wyrzucony z domu, znienawidzony przez rodziców i wszystkich krewnych, pod groźbą wydziedziczenia, postanowił zdobyć sławę bojownika po stronie buntowników. W ten sposób jego ojciec, wierny Dworowi, który już zbiegł i został oskarżony o wszelkie wyobrażalne zbrodnie i perfidie, wraz z brazylijskim zwycięstwem utraci wszystko, a jego sprawiedliwie skonfiskowane dobra przejdą na własność syna, słynącego z nieustraszonej okazywanej w służbie sprawie narodowej. Perilo Ambrósio wołał, aby rodzina została zesłana bardzo daleko, może do

Angoli, do czarnuchów gotujących ludzi, żeby ich pożerać, i much roznośzących śmiertelne choroby, ponieważ to jednak było niemożliwe, zadawała się myślą, która sprawiała, że godzinami przewracał się w łóżku z boku na bok i z durnowatym wyrazem twarzy gładził kosmyk włosów: że zostanie absolutnym panem fazendy, czarnych, domów i całej reszty. Co się miało stać z rodziną, teraz w najmniejszym stopniu go nie interesowało, była to sprawa na później, gdy obecna sytuacja zostanie jak najlepiej wykorzystana.

To byli swoi, bez wątpienia. Nawet stąd było widać, że coś się stało z kołami pojazdu wiozącego małe działo. Dwie brązowe mulice ciągnęły wóz, ale mimo wielkiego wysiłku ledwie się poruszały. Może sześciu jeźdźców paradowało konno w tę i z powrotem jak na gonitwie, kilku pieszych krzątało się wokół prawego koła, kurzawa wzbita kopytami zaciemniała powietrze, wokół skąpane światłem; wszystko to wyglądało jak na dawnym obrazie, słycać było strzelanie bata woźnicy, przekleństwa i przytłumione krzyki.

– Co ciągną te mulice? – zastanawiał się głośno Perilo Ambrósio, mrużąc oczy, żeby przyjrzeć się postaciom w dali. – Wleką małe działko polowe, falkonettę, tak się nazywa? Ciężka robota, powinni się zatrzymać i naprawić koło, bo jedno im odpada, nawet stąd to widać. Chyba powinienem do nich pójść. Który z mundurowych ma cztery galony i złote albo srebrne gwiazdki? Niektórzy zawsze chodzą z epoletami na ramionach i jeszcze innymi ozdobami. No dobra: po kapralu oddziału jest plutonowy, potem kadeci, a po nich sami wielcy dowódcy, kapitanowie i pułkownicy. Słuchaj no, wierzysz, że dobrze nas przyjmą i wezmą za zagubionych ochotników Barrosa Falcão? Co się dzieje z bitwą, tego wypada się dowiedzieć, ot co! Bo jeśli tam pójdziemy, a bitwa jeszcze się nie skończyła, pewniejsze bardziej niż Pan nasz w niebie jest to, że wezwą nas, żebyśmy pomaszerowali z nimi. No to opowiem im kilka historyjek, bo wojenne opowieści lepi się z kłamstw i bujdy. Poza tym jesteśmy po drugiej stronie rzeki, więc mogli tu na nas zniecka napaść wrogowie, nie? No tak, ale w ferworze bitewnym nie ma znaczenia, że człowiek jest śmiertelnie wyczerpany, musi ciągle walczyć. Nie, nie, jeśli mam sobie poradzić z tym dowódcą, nie mogą to być zwyczajne argumenty, widoczne na pierwszy rzut oka. No to zanim tam pójde, muszę się nieco przysposobić. Chodź tu, żalony durniu! Nie guzdraj się, niedojo!

Krótko potem, już tylko w towarzystwie Feliciano, Perilo Ambrósio pozdrowił porucznika, który zobaczywszy, że się zbliżają, popuścił wodze i podjechał do nich galopem, po czym zatrzymał się gwałtownie pośród chmury rdzawego pyłu.

– Rana postrzałowa? – zapytał, gdy tylko bowiem ściągnął wodze, spostrzegł, że Perilo Ambrósio trzyma lewą rękę na temblaku zaplamionym krwią, tak jak kamizelka i koszula. – Może pan jeszcze chodzić? Widać, że traci pan dużo krwi.

– Dowódco, gdybym nawet miał ze dwadzieścia barył krwi, wszystkie bym je sobie dał utoczyć za sprawę wolności – odparł głosem słabowitym i przerywanym łzawymi westchnieniami Perilo Ambrósio.

– Ale jest pan Portugalczykiem, prawda?

– Tak, panie dowódco, w Portugalii po raz pierwszy dane mi było ujrzeć światło dnia i wśród Portugalczyków zostałem wychowany, wszak są nimi ojciec mój i matka, jak pewnie również i pańscy rodzice. O ile jednak tam ujrzałem światło, o tyle w Brazylii ujrzałem życie, a jeśli mówię w taki sposób, wynika to z tego, co zawsze wbijano mi do głowy, bo nawet na studia do Dworu chciano mnie posłać, lecz walczyłem o to, żeby nie kształcić się w środowisku wrogim wolności i Niepodległości. Mój ojciec, tak, na nie szczęście przyłączył się do sprawy ciemężycieli. To mi złamało serce, gdyż jestem Brazylijczykiem, nie tyle dlatego, że tutaj jestem, ile dlatego, że czuję się tak związany z tą ziemią jak ptactwo i lasy. Oto wyszedłem z domu ojca, odrzuciłem fazendę i spadek i przybyłem tu, by walczyć, póki starczy tchu, choćbym się na niewiele przydał. Szliśmy już od świtu, bez odpoczynku, żeby przyłączyć się do oddziałów wielkiego pułkownika Barrosa Falcão, kiedy po przekroczeniu rzeki dopadła nas ich gromada. Gdyby nie szaleństwo czarnego Inocencia, który szedł z nami i rzucił się na dwóch wrogich żołnierzy, kiedy ja już ucierpiałem od kuli strzelca, zdradziecko wystrzelonej w plecy, nie byłoby nas teraz tutaj. Ten czarny Inocêncio, wierny i dzielny, leży tam pod drzewem ciężko ranny, pewnie śmiertelnie, nie może się ruszyć, nie da się go też nieść. Jednakże wciąż jestem gotów do walki, panie dowódco, i czekam na pańskie rozkazy.

– Nie, mój dzielny towarzyszu – powiedział porucznik z oczami okrągłymi z podziwu; pochylił się do przodu, oparłszy ręce na łąku. – Musisz odpocząć, wykurować się. Z tamtej strony, trochę dalej na południe, cisną nas siły Madeiry, podobno dostał posiłki, trzy czy cztery tysiące ludzi,

może dużo więcej. Ale my też otrzymaliśmy wzmocnienie ze wszystkich stron i nie możemy dopuścić, by nasi dobrzy towarzysze, walczący i przelewający krew za powstanie, pozostali bez pomocy lub opieki. Ci tam, poza jednym, mają konie, ale są z piechoty, chłopcy stajenni. Jeden z nich pokaże wam drogę, znajdziecie pomoc, jakieś leki na twoje rany. Nie możesz stracić więcej krwi.

– Nie, mój dowódco, moje rany opatrzył już ten drugi Murzyn, którego odwaga i oddanie godne są prawdziwego człowieka, gdy więc sprawa brazylijska zatriumfuje, co Bóg z całą pewnością nam ześle, zamierzam wręczyć mu list wyzwalający, aby stał się wolny, gdy wszyscy staniemy się Brazylijczykami, choć jest to jedyna własność, jaką posiadam na tym świecie. Obawiam się, że jest już za późno, bo mocno się wykrwawił i już stracił świadomość, kiedy ruszyliśmy po pomoc, ale bardziej martwię się o tego Murzyna pod drzewem niż o siebie, albowiem wielką odwagą się wykazał w obronie ojczyzny i swojego pana. Ja jakoś sobie poradzę. Jedną z tych chabet, jeśli mi jej użyczycie, będzie dla mnie jak królewski rumak i na nim, nawet jadąc powoli, zdołam dotrzeć do jakiegoś miejsca, gdzie mnie przyjmą, gdyż wszędzie mam wielu przyjaciół i bardziej jeszcze nieprzeliczone szczodre serca.

Porucznik, na oko nie więcej niż dwudziestoletni (gdy mówił, widać było wielkie staranie, aby jego głos brzmiał bardziej tubalnie), skinął krótkim, energicznym ruchem głowy i powiedział: „Zatem bardzo dobrze”, i podtrzymując czapkę, bo zsuwała mu się z łepety, pognął do swoich. Kazał zsiąść z konia jednemu z żołnierzy, po czym przywiódł go do Perila Ambrosia, podał mu wodze i kwaterkę wody, skinąwszy po wojskowemu na pożegnanie. Perilo Ambrósio powoli kołysał się w siodle, mając przed sobą czarnego Feliciana, który szedł z opuszczoną głową. Gdy już dotarli do miejsca, gdzie droga skręcała za las i nikła po drugiej stronie, Perilo zatrzymał się na chwilę i obejrzał przez ramię. Porucznik zsiadł z konia przy drzewie, gdzie wcześniej siedzieli, przeszedł kilka kroków, pochylił się, cofnął i ściągnąwszy czapkę, być może przeżegnał się – zbyt wielka dzieliła ich odległość, żeby mieć pewność. Potem znowu wskoczył w siodło i pognął z powrotem do niknącego w tumanie kurzu oddziału. Perilo Ambrósio ucieszył się, stwierdziwszy, że wszystko się znakomicie udało, w najdrobniejszych nawet szczegółach, chociaż już wcześniej był przekonany, że porucznik znajdzie Inocencia już bez ducha. W sumie, kiedy dziab-

nął go nożem, żeby wysmarować się jego krwią i tak się przedstawić porucznikowi, w końcu podziurawił go bardziej, niż planował, bo ręce wymknęły mu się spod kontroli, uderzał więc Murzyna jak w amoku. Lepiej, że zaraz umarł, i nie da się zaprzeczyć, że w taki czy inny sposób przelał krew za Brazylię, pomyślał Perilo Ambrósio i lekko ścisnął boki konia kolanami, by wreszcie znaleźć się na trakcie.

Cachoeira, 5 marca 1826

Tak, Cesarz spędził tu zaledwie kilka godzin, Arcyksiężna Cesarzowa zaś była w kapitanii i tam została, ale tej niedzieli, gdy słońce świętuje w każdym domu, w roślinach i wodzie, o poranku, gdy powietrze sprawia, że ludzie niemal unoszą się nad ziemią, kolory na ulicy Farnej i placu Vila, ubrania i parasole wszelkiego rodzaju, dzwony bijące jak oszalałe, mężczyźni, którzy jeszcze wychodzą w spodniach z białego atłasu i butach wedle mody panującej na dawnym Dworze, namioty z chorągiewkami rozstawione na dzień wizyty, zapachy potraw i kolendry, i świeżej papryki, i ryb, i afrykańskiej smażeniny, granatowe niebo obramowujące fałszywe forty, które zbudowano, aby sprawić przyjemność Jego Cesarskiej Mości, stosy owoców piętrzące się nad rzeką, czarni i ich kobiety mieniące się wrzaskliwymi barwami tkanin, ich mowa jak brzmienie egzotycznych fletów, dzieci biegające między drzewami w ubrankach do kościoła, dachy odbijające światło i skwar, ktoś śpiewa, ktoś gapi się na rzekę, ktoś łowi ryby, otwarte drzwi i okna, kwiaty w wysokich donicach i na rabatach – wszystko to, odczuwane u wrót fary, po wysłuchaniu mszy i rozpoczęciu dnia, zdaje się oznajmiać, że rezyduje tu Cesarz Brazylii i jej Nieustający Obrońca. Niebawem, wysoki i piękny niczym bóg, wyłoni się z jednego z trzech domów, które przeznaczono na jego pałace, podając ramię Cesarzowej, i uda się na przechadzkę pośród dworaków i ludu, pozdrawiając niebo, z którym może rywalizować splendorem. Wszystko to sprawia, że warto żyć, pomyślał Perilo Ambrósio, baron Pirapuamy, stojąc przy wyjściu z kościoła i wycierając pot z karku chusteczką z angielskiego brokatu. Wypchnął wielkie brzuszysko, wciągnął powietrze przez nos i upewnił się, że kolaska zaprzężona w parę białych, przysadzistych wałachów stoi gotowa w wyznaczonym przez niego miejscu, na koźle zaś siedzi dwóch roślących czarnych woźniców; sztywne kołnierze ich czarnych ubrań sięgały im niemal uszu. Rozważał, czyby ich nie zrugać za to, że zeszli z miejsca, które im wskazał, i stanęli w cieniu mangowca, ale zrezygnował z tego. Był w wielkodusznym nastroju i poza tym konie i powóz, które kosztowały go tyle wydatków i strapień, też uniknęły żaru. Wiedział, że gdy wsiądzie do kolaski, w drodze powrotnej do dworu przy młynie cukrowym będzie miał

ochotę poszukać na ubraniach czarnych, na siedzeniach i pokrowcach płam żywicy kapiącej z mangowca, a jeśli je znajdzie, znowu będzie mógł stracić głowę, jak to coraz częściej zdarzało mu się z czarnymi. Potem jednak o tym pomyśli, teraz nie będzie się irytował. Wyszedł z mszy, znowu rzucił na tacę tyle, że ręka zakrystiana ledwie wytrzymała ciężar monet, czuł, że serce mu się zasmuca, i powilgotniały mu oczy na dźwięk dzwonka w chwili Eucharystii, i zobaczył w twarzach tak wielu, którzy go pozdrawiali, miłość, podziw i dumę z tego, że ich rozpoznaje, i mimo że nie lubił chodzić i odczuwał niejaki obrzydzenie wobec niektórych osób, które na pewno będą chciały z nim mówić, a nawet będą się starały go dotknąć, postanowił pójść spacerem ulicą Farną, rozkoszując się tym radośnie dusznym powietrzem pierwszej niedzieli po odwiedzinach Cesarza i szczęściem, dziś tak pełnym, kiedy wie, że jest tak ważny dla Boga i dla ludzi.

Wsunął wielką chusteczkę do kieszeni, bez składania, poprawił kapelusz na głowie i ruszył w słoniowy marsz w kierunku placu. Przekłete koronkowe mankiety, przekłete kobiety, zmuszające go do uchylania kapelusza i powtarzania tych samych pozdrowień. Woźnica z pękatym jabłkiem Adama wystającym mu spomiędzy poł kołnierza przybiegł od kolaski, spodziewając się, że będzie musiał mu pomóc wsiąść, co należało do jego obowiązków.

– Lasa-lasa? – zagadnął Murzyn.

Nie potrafił jeszcze mówić językiem białych ludzi, był nowym Murzynem. Perilo Ambrósio zatrzymał się i spojrzał na tę bardzo wysoką postać, groteskowo barczystą w czarnej marynarce.

– Lasa? – powtórzył czarnuch z głupkowatym uśmiechem. – Jedź-jedź? Zenio, jedź?

– Brudny czarnuchu – odezwał się Perilo Ambrósio, sam nie wiedząc dlaczego.

– Brudnynuchu – powtórzył jak echo czarny. – Brudnynuchu prowadź lasa, jedź-jedź?

– Nie, nie jadę teraz do przetwórni – odpowiedział Perilo Ambrósio po chwili milczenia, słuchając, jak czarny powtarza „lasa-lasa” i robi rękami ruchy, jakby niósł coś bardzo ostrożnie. – Wracaj i czekaj na mnie. Wracaj!

– Wraca – odezwał się Murzyn, z tym samym przerażającym uśmiechem.

– Tak, wracaj.

Uśmiech z twarzy woźnicy zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, i zanim mężczyzna się odwrócił, wydawał się niezdecydowany, którą stronę wybrać; zakołysał ciałem i wreszcie pobiegł z powrotem do kolaski.

– Pusty łeb – podsumował Perilo Ambrósio.

To jednak nie wystarczyło, żeby go uspokoić, został bowiem zmuszony do przyznania, że w obliczu tego głupkowatego czarnucha i jego nieprzyjemnego uśmiechu znów odczuł jakby strach. Może nawet wybrał tego człowieka do powożenia nie tylko z powodu wzrostu, zdrowia i siły, które czyniły zeń niewolnika godnego zazdrości, godnego barona. Możliwe też, że aby wypróbować ten strach, niewyjaśnialny i niemal cielesny strach, który zawsze barona ogarniał, gdy z nim rozmawiał. Może gdyby tamten rozumiał, Perilo nie nazwałaby go brudnym czarnuchem. Nie, no nie, oczywiście, że by to zrobił, już bez przesady. Czy to strach? Jak mógłby się bać swojej własności, kolejnego Murzyna spośród dziesiątków innych, rzeczy, z którą mógł zrobić, co tylko przyjdzie mu do głowy? Tak, ale obawiamy się też wściekłego cielątka, każdego zwierzaka, nawet dziobnięcia gęsi, której szyję można skrócić jedną ręką. Nie, to nie był strach, było to jedynie nieprzyjemne wrażenie, którego doznaje każdy, rozmawiając z obłąkańcem, i tyle. Jednakże ten Murzyn bardziej by się przydał w rezydencji w mieście, wynosząc na plażę beczki gówna produkowanego w domu, pompując i nosząc wodę, i wykonując różne inne ciężkie prace, przeznaczone dla kogoś jego wzrostu. Dobrze, to jednak są tylko nieistotne drobiażdżki, które przychodzą do głowy, próbując zniszczyć dzień taki jak ten, kiedy plac z swoim niedzielnym zbiegowiskiem już staje przed nim otworem i wszystkie rzeczy znajdują się w zasięgu ręki i pragnienia, i nie ma nic bardziej upajającego, niż tak w spokoju i świadomie dostrzec, że to wszystko jest odbiciem jego władzy. Nie było pospolite owo zwyczajne, bez pompy pojawienie się barona na placu, gdzie ciągle zdawały się poruszać postaci Cesarza i jego orszaku, w pobliżu luksusowego pawilonu, gdzie Jego Cesarska Mość przyjął klucze do miasta i do którego nawet wyzwoleni kolorowi mogli się zbliżyć, aby usłyszeć głosy Dworu, akcenty i tony tak różne od tutejszych, które damy z towarzystwa i ważni panowie naśladowają, niektórzy nawet doskonale. Skoro nie było tam już Cesarza, jego admirałów, okrętów i królewskiego przepychu, cała imperialna aura spływała na wielką miejscową arystokrację, której – jak Perila Ambrosia, nieurodzonego w Cachoeirze i ledwie ją znajęcego – sława i fortuna rozprzestrzeniły się po wszyst-

kich ziemiach Recôncavo. Czy jego surowa, imponująca postać nie należała po trochu do całego ludu Cachoeiry? Czy też nie jest kimś, on, w pewnym sensie szlachcic z Cachoeiry, kogo lud może przywoływać z dumą i mówić przyjezdnym: „Tutaj też mamy naszych szlachetnych baronów”?

Tak, jest, pomyślał Perilo Ambrósio, jestem baronem. Nie musiał więcej tego obsesyjnie powtarzać jak kiedyś, chcąc się przekonać do jakiejś absurdalnej rzeczy, przed którą broniła się jego własna głowa, w pierwszych dniach po potwierdzeniu baronatu. Ja, ja jestem baronem Pirapuamy. *Pirapuama* w języku dzikusów oznacza wieloryba. Nie można tego potwierdzić ponad wszelką wątpliwość, jak by sobie życzył, bo Indian już praktycznie nie było, a ci nieliczni, którzy pozostali, ukrywali się na kompletnych zadupiach w lesie albo oddawali kradzieżom i żebractwu, żeby pić, spadać ze schodów i afiszować się brzydkimi chorobami, które przynosiła im ich natura. Lecz całe Recôncavo i okolica wiedziały, że *pirapuama* to wieloryb, a jeśli nie, to będzie, bo w końcu jest tam baron Wielorybów, który w wyniku nieprzebranych cierpień i strapień, walcząc za Ojczyznę, stawiając czoło nienawiści i niezrozumieniu, zmuszony walczyć przeciw własnej rodzinie, dzisiaj jest największym spośród panów polujących na wielkie morskie zwierzęta, które co roku w czerwcu napełniały radością i znaczyły cielskami zielone fale Zatoki Wszystkich Świętych. Pirapuama, imię potwierdzające narodową wyjątkowość, obwieszczające dumę z południowego pochodzenia, przywiązania do tej ziemi i jej pierwotnych mieszkańców, dawnych szlachetnych dzikusów.

Ileż walki, ileż cierpienia, pomyślał Perilo Ambrósio, znów ocierając pot brokatową chustką. Przeklinał jej szorstkość, ale wystudiowane obnoszenie się z nią na oczach przechodniów sprawiało, że po raz kolejny narodziło się niepoohamowane pragnienie, by powoli przetrzeć podbródki; wyciągnął z kieszeni szklany flakonik i palcem wskazującym zatykając szyjkę, skropił chusteczkę kilkoma kroplami perfum; ich aromat zachwycał Murzynów esencjami, które wyszedłszy z lśniącego kamienia, rozchodziły się po świecie. Bardzo dobrze, rzeczywiście Rewolucja nagrodziła swoich bohaterów. I rzeczywiście przejęcie własności całej jego rodziny okazało się znacznie łatwiejsze, niż to sobie wcześniej wyobrażał. Nawet gdy ojciec już został pojmany, uwięziony i oskarżony o zdradę, Perilo odnalazł złoty proszek, o którym mówiono, że nielegalnie został zakopany w piwnicach dworu przy cukrowym młynie, w tajemnicy ukrył większość znaleziska i garść dostar-

czył władzom jako smutny dowód na to, że jego rodzina w rzeczy samej była tym całym złem, które się o niej opowiadało, a nawet jeszcze trochę więcej. Płakał, oddając to złoto, nie z żalu, ale żeby przyznać, że choćby nie wiadomo jak jego serce się buntowało, nie mógł, w imię Ojczyzny i ludu, który dokonał Rewolucji, ukryć wrogiego zachowania własnego ojca, matki, sióstr, wszystkich mieszkających w tym domu, z którego został wygnany za to, że jest jedynym w tej rodzinie Brazylijczykiem. Był bezinteresowny, mógł bowiem zostawić wszystko dla siebie i spędzić resztę dni w spokoju, mroku i zwyczajnym komforcie człowieka, który wypełniwszy swój obowiązek wobec Narodu, nie ma innego powodu, żeby świętować, prócz czystego sumienia, tak wielkie przeciwności wychłostały go ze wszystkich stron. Ale niczego nie chciał, o nic nie prosił. Wyczerpany i osłabiony w Pirajá, ledwie jego rany przestały broczyć życiodajnym płynem, nieustannie znajdował się na linii frontu, doradzając, zarządzając, prowadząc, służąc na tysiąc sposobów, aż do chwalebnej chwili, kiedy pod osłoną nocy i sztormu, które zesłali mu bogowie Nowego Świata, generał Madeira podniósł kotwicę i czmychnął z powrotem do Portugalii.

Tak, Rewolucja nagrodziła swoich bohaterów, powtórzył w myśli Perilo Ambrósio, smakując to zdanie, gdyż uznał je za eleganckie i znaczące. Niektórym zapłaciła zasłużoną gotówką, jak to się stało na rozkaz samego lorda Cochrane'a w Itaparice. Tam, jeszcze przed ucieczką Madeiry, niejaki kapitan Tristão Pio dos Santos przywiózł, jak opowiadano, około tysiąca twardych pesos, żeby je rozdać pośród dowódców z *25 Czerwca*, z *Doni Januarii* i z *Vila do São Francisco*, w uznaniu tylu dzielnych czynów dokonanych na morzu Bahii. Czy było tego tysiąc twardych pesos, suma o dźwięczności tak wielkiej, że przywoływała zalew drobnych patacas i cruzados? Nikt z wyspy Recôncavo nie wiedział, ale wiedziano o tym i owym, o wielkich nagrodach, tym bardziej że skoro teraz były młyny cukrowe, młyny zbożowe, fazendy, fabryki tranu, byli baronowie, hrabiowie, wicehrabiowie, szlachta, ludzie bardzo bogaci, z których lud mógł być dumny, to tylko dlatego, że Ojczyzna potrafiła zadośćuczynić tym, którzy za nią oddali wszystko – wielkim dowódcom, kapitanom i przywódcom wojsk, którzy dźwigali na niezmordowanych ramionach ciężar inspirowania i prowadzenia ludu do zwycięstwa za wolność i szczęście. Lśnił na tej fasadzie herb Dão Pedra, przez niego samego wyrysowany. W tym samym miejscu Perilo Ambrósio widział już sferę armilarną Dão Manuela zastą-

pioną herbem Portugalii, Brazylii i Algarve, 3 lipca skutym dłutem i pokrytym gipsem, na którym na wieki zawisnie symbol nowej ery. Symbol błogosławiony i umiłowany, herold deszczu nagród i rekompensat; zdawało się, że sama Natura zrzuca z nieba majątki i bogate fazendy, medale i pensje, tytuły i koncesje, komandorie i dożywotnie stanowiska, dobra bogatsze i obfitsze niż sama błogosławiona ziemia, na której rozpościerano teraz płaszcz wolności. Ci sami ludzie, którzy dowodzili na wojnie, teraz mieli przewodzić podczas pokoju; Perilo Ambrósio zaś z dreszczem dumy pomyślał o swojej zachwycającej maszynie parowej, wielkiej produkcji cukru, melasy i wódki, swoich rozległych posiadłościach, obligacjach, które nabył tak hojną ręką i które tak bardzo go wyniosły w oczach Ministerstwa Finansów i Rządu Tymczasowego – bez wsparcia tych instytucji być może nie uzyskałby baronatu. Oto progres wynikający z pracy ludzi takich jak on. Poprzez niego samego niewolnicy, tępe i praktycznie bezrozumne czarnuchy, odnajdowali w skromnej służbie drogę do chrześcijańskiego zbawienia, które w przeciwnym razie nigdy by dla nich nie było dostępne, wykonywali swoje zadania i dostawali jedzenie, ubranie, dach i lekarstwa, więcej, niż większość z nich zasługiwała z powodu tych wszystkich rozczarowań i trosk, których przysparzali swoim panom, i głupiej niewdzięczności, naturalnej tak u czarnuchów, jak i pospólstwa. Ogólnie rzecz biorąc, było mnóstwo fazend, do których lud mógł się przyłączyć, wiele profesji, które mógł wykonywać, mógł sprzedawać i jeść to, co złowi w uwolnionych teraz wodach, mógł w sumie prowadzić takie samo życie, jakie wiódł wcześniej, z tą delikatną różnicą, że już nie pod portugalskim butem, lecz służąc Brazylijczykom, bogactwu, które znajdowało się na ich własnej ziemi, w rękach tych, którzy potrafią sprawić, że ona rozkwitnie.

Napiję się czegoś chłodnego, postanowił Perilo Ambrósio, lecz nim zdołał dotrzeć do kiosku postawionego z okazji nigdy niekończącego się święta, już go otoczyli pochlebcy i już Murzyni podziwiali go z daleka, spuszczać wzrok, kiedy na nich spojrział. Dzień dobry, panie baronie, jak zdrowie pana barona? Wiedział już, jak się zachowywać wobec gawiedzi oraz drobnych urzędników i kupców, którzy go otaczali – wyciągnięte szyje, poważne miny – żeby usłyszeć jego opinie o świecie i wydarzeniach. Zawsze mówił ze swadą, to nie był problem, ale dobrze było robić pauzy, jakieś ekspresyjne gesty, okazać głębię duszy, skąd wydobywał swoje obserwacje. Wyciągnął chustkę z kieszeni, powąchał ją dyskretnie. Czy to

pewne, że Jego Cesarska Mość jest przychylnie nastawiony wobec petycji z Cachoeiry, żeby nadać miejscowości status miasta o podniosłej nazwie Petrópolis? Tak, to pewne, Jego Cesarska Mość wyraził tę przychylność wobec niego osobiście, kiedy spotkali się w Itaparice, krótko przed wizytą w Cachoeirze. Przy okazji zresztą miał sposobność opowiedzieć Jego Cesarskiej Mości o obrazie namalowanym przez mistrza Almerinda Conceição, przedstawiającym przemowę chorążego Brandão Galvão do mew, owego feralnego, niezapomnianego dnia 10 czerwca. Co ciekawe, Jego Cesarska Mość, choć poruszony historią chorążego i zainteresowany detalami obrazu – którego zresztą nie sposób uznać za prawdziwą sztukę, jaką tworzy się w bardziej rozwiniętych krajach, powinien być traktowany jedynie jako cenny dokument, nic ponadto – wołał wyrazić się szerzej na temat wyłożenia sprawy przez barona Pirapuamy, które uznał za przykładowie erudycyjne. Jego Cesarska Mość jest niebywale szczodry, rzekł baron, rozkazując gestem, aby przyniesiono mu napój z *cajá*. Czy udało się panu baronowi porozmawiać z Cesarzową? Tylko przez chwilę, ledwie kilka słów, ponieważ nie czuła się najlepiej z powodu upału i większość czasu spędziła w swoich pokojach, wachlowana przez damy do towarzystwa. Jak smakuje panu napój? Dobrze, bardzo dobrze, bo nie tylko Panią Cesarzową męczy ten skwar.

Normalnie odczekałby, aż kolasa, przywołana przez zaaferowaną grupkę wyrostków, gdy tylko okazał chęć odjazdu, stanie przed nim, tym razem jednak wołał wyjść jej naprzeciw, krocząc, jakby niewielki tłumek został doń przymocowany na gumce. Wydobył z kieszeni zamszową sakiewkę i sypnął monetami oblegającym go młokosom, starcom i kalekom. Jakaś przygarbiona starucha okryta czarnym szalem pocałowała go w rękę, mówiąc, że miała szczęście poznać pana jego ojca i panią mateczkę, zanim przegnano ich do Portugalii. Już odpychał ją stójkowy Desidério, zawstydzony, że wspomniała sprawę tak krępującą dla barona, kiedy Perilo Ambrósio go powstrzymał i z naturalną prostotą wielkich ludzi i bohaterów powiedział: „Zostaw, Desidério, ja także, och, ja nieszczęsny, odczuwam brak rodziców i rodziny, fortuny znacznie większej niż ta, którą rozporządzam”. Zastygł krajobraz, wszyscy zamilkli. A Perilo Ambrósio, przygryzając dolną wargę, przemówił tak, jak to sobie często planował:

– Pomiedzy Ojczyzną i rodziną, moja dobra kobieto, oby Bóg zawsze dał mi siłę wyboru tej pierwszej, więcej warte jest bowiem przeznaczenie

całego narodu niż los jednostki.

Spostrzegł, że zachwycony Desidério bezgłośnie powtarza za nim słowa, które od razu wszyscy komentowali i powtarzali, poruszeni jego dojmującą i bolesną szczerością, gorzką odwagą. Pogładził ramię starej kobiety, wręczył jej monetę i wolno podszedł do kolasy. W zapadłej ciszy ludzie teraz zastanawiali się nad tyloma rzeczami, które wyraził w tak dobrym przemówieniu. Wsparł się na Murzynie, nie patrząc na niego, wsiadł do kolasy, po raz ostatni wytarł pot i usadowił się wygodnie, zaplatając ręce na brzuchu, gotów w rytm kołysania powozu zdrzemnąć się podczas podróży. Na niebie Cachoeiry, zmieszana z rozedrganym światłem rozgrzanego firmamentu, duszyczka chorążego Brandão Galvão, jeszcze oszołomiona widokiem Cesarza, natłokiem wydarzeń i pięknym obrazem, w który już uwierzyła, towarzyszyła z góry czynom barona, drżąc z podziwu i nabożnego szacunku.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki